Nr. 24. We Lwowie dnia 16. czerwca 1901. Rok 10.

# TYDZIEŃ

## Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

# Rozmyślania krytyczne na temat pewnej książki.

Die Bau und Kunstdenkmaler der Provinz Ostpreussen, Heft VII. — Bauernhaus in Ostpreussen. (Pomniki budownictwa i sztuki Prus Wschodnich, zeszyt VII., chata chłopska w Prusach Wschodnich).

W obecnym czasie walki na śmierć i życie pomiędzy ludem polskim a germanizacyjną falą hakatystów, z przykrością bierze się książkę powyższą do ręki.

Książka ta bowiem, jest wyręczeniem nas w robocie kulturalnej, jest uczynieniem przez Niemców tego, co sto razy lepiej i dokładniej mógłby Polak, gdyby umiał i gdyby, co gorsza... chciał uczynić.

Przerzucam ze wstydem kartę po karcie z książki, zapełnionej rysunkami przedmiotów sztuki i okazów budownictwa włościan polskich w Warmji, Mazowszu pruskiem i na pruskiej Litwie i widzę tę całą odrębność we wszystkiem i charakter narodowy, tkwiący tak w najdrobniejszym przedmiocie, jakoteż i w całości kultury ludowej polskiej. Tak jak mowa i obyczaje, tak różni się chata polska w konstrukcji, układzie poziomym i w wyglądzie od niemieckiej, stanowi odrębnością swoją naszą narodową własność. Kiedy jednak w Niemczech gromady architektów i towarzystwa etnologiczne latami celowo zbierają materjał ludoznawczy i wydają w licznych pracach, u nas „Wisła“ ledwo od czasu do czasu „kapnie“ jaką o chacie wiadomością, a lwowski „Lud“, organ towarzystwa ludoznawczego wytrwale milczy o tej stronie kultury ludowej, jaką jest budownictwo i sztuka stosowana.

Tak więc Niemcy wyręczają nas w Poznańskiem, w Prusach wschodnich i na Śląsku, i zapisują majątek nasz do swoich książek podług swego widzimi się, a w Galicji i Królestwie polskiem, gdzie niema komu nas wyręczyć, to prawie niema też komu majątku naszego w sztuce zapisywać. Gdyby nie Wawrzeniecki i Witkiewicz, a zwłaszcza niezapomnianej pamięci lekarz Matlakowski, to byśmy nie mieli nic zupełnie zapisanego w księgach z tego, czem nasz lud przez wieki kulturę ludowo-narodową zapomógł.

W Niemczech architekci na zjeździe z roku 1898 powzięli myśl zbadania budownictwa i sztuki włościańskiej i podzielili Niemcy na części oddane zbadaniu, opisaniu i wyrysowaniu poszczególnym pracownikom w zawodzie.

Lecz księgi takie w Niemczech powstają też nietylko dzięki rozbudzonej inicjatywie prywatnej, państwo bowiem i stany prowincjonalne czynią też wszystko, aby to, co przeszłość pozostawiła, troskliwie zebrać i w księgach uwiecznić. Jedną z takich prac, za fundusze publiczne sejmu prowincjonalnego Prus wschodnich dokonaną, jest książka, z powodu której pisane są niniejsze słowa.

Książka ta jest siódmym tomem wydawnictwa, zawierającego w sobie w szczegółowym opisie zabytki sztuki i kultury całej prowincji.

Tom ten jest szczególniej interesujący przez to, że w Prusach wschodnich ścierały się dwa pierwiastki: niemiecki i polski i że w tym tomie odźwierciedla się odrębność obudwu typów narodowo-włościańskich, zawarta w chatach, urządzeniu, kościołach, dzwonnicach i nagrobkach, odrębność nader ciekawa i pouczająca.

Spotykamy tam obok chaty kolonisty niemieckiego na Warmji, chatę „gbura“ polskiego i, wyglądem a konstrukcją zakopiańską zagrodę przypominającą, chatę Mazura.

Szczególnie podziwiać należy ów pewien zmysł zachowawczy u ludów na pograniczu narodowem żyjących.

Na Mazowszu i Litwie dochował się do dziś nietylko stary typ chaty polsko-rusko-litewskiej, często bardzo pierwotny, z ogniskiem wolnem pośrodku, ale istnieje do dziś nawet forma kościołów i dzwonnic, tudzież nagrobków drewnianych, „baby“ przedhistoryczne pogańskie, zupełnie kształtem przypominających.

Ponieważ chata włościańska na ziemiach rzeczypospolitej polskiej, będzie przedmiotem oso-

bnej rozprawki na kartach tego pisma, przeto odłożyć należy szczegółowe zestawienie i opis chaty prusko-mazurskiej i litewskiej, do tej pracy tembardziej, że słowny opis bez rysunku byłby nużącym.

Natomiast pora najwyższa jest, aby inteligencja nasza prowincjonalna obok innych „zajęć“ znalazła czas na troskliwe zbieranie tego wszystkiego, co na wsi rzuca się w oczy, jako przedmioty sztuki.

Zwłaszcza dziś, kiedy aparaty fotograficzne dotarły już do najmniejszych miasteczek, byłoby rzeczą wyborną i niezwykle pożyteczną, aby na kliszach utrwalać chaty, wnętrza chat, statek w chacie, lamusy, spichrze, cerkwie, kościoły, dzwonnice, kaplice, krzyże i figury przydrożne, wszystko w jak największym formacie i odsyłać to do szczególnie na to przeznaczonego miejsca. Możeby przy muzeum miejskiem lub Dzieduszyckiego, można urządzić oddział osobny dla sztuki ludowej, gdzieby z całego kraju spływały udokumentowane fotografią okazy kultury ludowej. Przypuszczam, że myśl tu rzucona znajdzie wykonawców... redakcja niniejszego pisma od współudziału się nie uchyli, lecz owszem, prosi o rozwinięcie dalsze tejże myśli słowem, a co najważniejsze czynem.

Z jej upoważnienia autor kreśli niniejsze słowa.

*Kazimierz Mokłowski*, architekt.

2)

# Cienie chińskie.

Ta-Niang spojrzała przelotnie na syna, który wyciągnął właśnie swe pałeczki po nowy kęs strawy. Chłopak spostrzegł to, zmieszał się i jadło upadło na stół.

— Potrzebujesz, widzę, osobnego talerza, jak Anglik! — roześmiał się Uang.

I-Po i Hong-Ju odpowiedzieli na tę uwagę wesołą wrzawą. I-Po począł pospiesznie opowiadać, co słyszał w młynie. Cudzoziemskie djabły wypuściły na ziemię żelaznego smoka, który zieje ogniem, przebiera nogami i ciągnie siedzących na ogonie ludzi z towarami... Lecz, aby szedł, trzeba przed nim położyć sznur żelazny, który on łyka, a następnie z tyłu za sobą wypuszcza... Aby mu to szło gładko, mażą mu szczęki olejem wyrabianym z ludzkiego ciała... Dlatego właśnie chrześcianie skupują dzieci chińskie i nawet dorosłych ludzi... Prócz tego, gdzie tylko przejdą, na znak swej władzy, przeciągają nikomu niepotrzebne tajemnicze druty na wysokich słupach... Gdzie taki drut przeciągną, widzą wszystko i słyszą wszystko...

— Przychodził handlarz herbaty, ale dawał ceny tak nizkie, że nie posłałam go do ciebie — przerwała mowę dziecka Ta-Niang.

— Szkoda! — rzekł w zamyśleniu Uang. Ceny szybko spadają. Ile dawał?

— Dawał śmiesznie mało. Zresztą powiedział, że wróci. Nie wiem, czy możemy sprzedać za tę cenę. Nie opędzimy wydatków...

Z roku na rok gorzej. Ziemia i robotnik drożeją, a ceny herbaty, ryżu, bawełny spadają i spadają... I tak wszędzie, i tak wszyscy... Czem się to skończy? Skąd idzie?

Uang w zamyśleniu podniół palec wskazujący do wysokości ucha i głowę na bok pochylił. Synowi na gwałt trzeba szukać żony, a pieniędzy niema na opłacenie swatki. Zanim nie dowie się o zamiarach sąsiada Czeu, musi trzymać w niepewności dziecko... Cóż robić: łatwiej nie dopuścić do serca nadziei, niż z nią się rozstać! Spojrzał na A-Pe. Ten wstał właśnie i zmierza ku drzwiom.

— Dokąd?

— Idę wrota zamknąć.

Młody Chińczyk, nim zaparł ciężką, drewnianą zasuwę wrót, wyjrzał na zewnątrz. Ciemność i cisza zalały okolicę; gasły ognie w zasypiających fanzach; tylko nad rzeką jeszcze roiły się czerwone skry świateł z pływających domów i statków, wzlatały spóźnione rakiety na cześć Wodnego Smoka. Z zachodu ciągnęły ciepłe powiewy i niosły ostry zapach ljan i słodki żółtych azalji. A-Pe nagle wrota zatrzasnął i zwrócił twarz ku gwiazdom, które zaglądały przychylnie do jego rodzinnego gniazda, oddzielonego obecnie od całego świata wysokim i mocnym murem.

* * *

Nazajutrz było święto. A-Pe, który wstawał pierwszy, obudził się później, niż zwykle. Słońce już weszło. Wesołe promienie jego, z ukosa wpadając pod werandę, wdzierały się przez obszerne na całą ścianę okno do głównej izby domu i zalewały ją jaskrawem światłem. W głębi — w sypialnych pokoikach rodziny, zastawionych parawanami, panował jeszcze przyjemny chłód i zmrok. A-Pe obudził sługę i młodsze rodzeństwo. Wkrótce potem wysunęła się matka z sypialni, wydała ze spiżarni śniadanie, zajrzała do dzieci, sprzątających główną izbę, ubierających kwiatami ołtarz rodzinny i wróciła ostrożnie do męża. Przysiadła koło niego. Chwilkę rozmawiali cicho o A-Pe, o braku pieniędzy, o niesprzedanej herbacie, o wyschnięciu od upałów wody w kanałach, o wzrastającej drożyźnie ziemi... Wreszcie szepty dzieci, zebranych pode drzwiami przerwały ich rozmowę. Ta-Niang odsunęła się z uśmiechem; Uang uderzył trzykroć w podłogę. Natychmiast z po za

parawanika, zasłaniającego wejście, wysunął się z jednej strony I-Po z miotełkami pod pachą i bukietem w ręku, a z drugiej wyszła Hong-Ju z miednicą gorącej wody i pływającymi w niej płatkami flaneli.

— Och, I-Po, tylko mnie nie potrąć, nie uderz mię! — wołała, posuwając się wolniutko, podczas gdy żywy chłopak wybiegł naprzód, zrobił zręcznie rodzicom Ko-teu, oddał bukiet i zaczął czyścić ich rzeczy.

— Ojcze, na dworze ślicznie, jasno i cicho, ale A-Pe mówi, że będzie gorąco, że trzeba będzie bawołu poprowadzić do rzeki, aby się wykąpał; więc może jabym poszedł, ojcze?!...

— A co robi A-Pe?

— A-Pe był niedawno w obórce. Nie wiem, co teraz robi, gdyż długo staliśmy u twego proga...

Uang zwolna ubierał się przy pomocy dzieci w odzież odświętną; Ta-Niang zaniosła babce rzeczy, kwiaty i śniadanie.

Tymczasem A-Pe wrócił z nad kanału z pękami świeżych kwiatów, ustawił je w wazonach pod półką z tabliczkami przodków, odstąpił i mrużąc oczy od światła, przyglądał się swemu dziełu. Blask słoneczny szeroką falą przesiąkał przez papier okna, przełamywał się w cieniuchno szlifowanych muszelkach lufcików „do wyglądania“. Jasny pył brylantowy, przesnuty tęczowemi smugami, barwił i złocił kwiaty, owoce, drewniane miseczki z jadłem ofiarnem, błękitne wazy, duże świeczniki cynowe i złote napisy na jaskrawoczerwonych wstęgach papieru, zawieszone na ścianie naprzeciwko okna, z obu stron półki przodków i ofiarnego stołu z czarnego drzewa. Dwie latarnie z bibułki kolorowej zwieszały się z pułapu. A-Pe wziął księgę rodzinną z tego stołu i przeniósł na inny, większy, pośrodku pokoju.

Wszedł wreszcie ojciec. A-Pe schylił się przed nim w głębokim ukłonie, poprawił warkocz i włożył atłasową czapeczkę. Wkrótce przed ołtarzem zebrała się cała rodzina, przyszedł sługa; mężczyzni rozpuścili na plecach świeżo splecione warkocze i nakryli głowy czapeczkami, kobiety młode i stare pięknie i wysoko upięły włosy ogromnemi szpilkami i ubrały je kwiatami. Zapalono w świecznikach kolorowe świece z wosku roślinnego i małe trociczki „wonności jednej godziny“. Niebieskawy dym popłynął cienką wstęgą ku górze, owiał podłużne, rzeźbione z ciemnego drzewa tabliczki z imionami przodków, czerwone wstęgi papieru, jaskrawe, koliste wachlarze i złote, pionowe napisy. Uang przykląkł, pochylił się i czołem dziesiękroć o ziemię uderzył; zebrani uczynili to samo.

Gdy następnie wstał Uang i zbliżył się do otwartej na pierwszej stronicy księgi rodzinnej zdawał się być więcej, niż zawsze wzruszony.

— Przeszłym razem przeczytałem wam życiorys niepokalanej pamięci ojca mego a waszego dziada... My żyjemy jeszcze... Znów więc zacznę od początku księgę naszego dziedzictwa...

(C. d. n.) *Wacław Sieroszewski.*

2)

# MULTATULI.

## Studjum z literatury holenderskiej.

(Ciąg dalszy).

Naprzeciw i wrogo interesom materjalnym całego narodu stawał człowiek jeden, sam, wróg ludu, potężny tylko swoimi sprawiedliwymi postulatami, swą nazareńską etyką, nieskazitelną czystością idei i programu, słusznością pretensji, nagromadzonym materjałem krzywd, wołających o pomstę do nieba i oskarżeń, opartych na nieprzeliczonych faktach, Prometyda! A że książka wywoływała olbrzymią sensację, że ją rozchwytywano, a w Indjach płacono po 100 guldenów za egzemplarz, że powoli i dyskretnie przyznawali rację moralną autorowi i ministrowie i dyplomaci i bankierzy i literaci i wszystkie, co szlachetniejsze jednostki w ojczyźnie, że tu i ówdzie wybuchały płomyki oburzenia, rozpoczynały się interpelacje, tu i ówdzie zbierały się grupy, rewolucyjnie dyskutujące i z ukosa i coraz krytyczniej zaczęto patrzyć na dynastów kawy i tytoniu, królów cukrowych i królów indyga, miljonerów i nabobów, że dalej i nowy wicekról Indji, hrabia *Sloet van de Beele* oświadczył, że Multatuli ma rację, ale to do niczego nie obowiązuje, — że nerwowy niepokój i zamieszanie i rozbudzonych sumień głos ogromnie wzrastało, a po ulicach miast holenderskich zaczęto odnowa śpiewać starą piosnkę o „zbójeckim kraju nad morzem, co leży między Szeldą a Ostfryzją“, — cóż tedy dziwnego, że zapomniano trochę o nowej kombinacji barw tulipanów, rzesze kupców ukryły się po norach jak szczury i przycichły, a jakaś pisarzyna zdobyła się w „Gravenhaagsche Nienwsbode“ na epitet dla Multatulego: modny Herostrat! Z czasem epitet ten przypadł do smaku całej kanalji reporterskiej, rząd sensację i oburzenie przeforsował zupełnem zamilczaniem ze swej strony i nie poczynił ani jednego kroku w kierunku reformy polityczno-administracyjnej; możnowładcy kawy i cukru znów przyszli do moralnej równowagi

wielce czcigodnych obywateli, wiernych poddanych J. K. Mości. A jakby na urągowisko gnijącym z nędzy i zarazy krociom Malajczyków w tajemniczym majestacie święciła się ku Bożej Chwale święta Hermandada. Krytyka ówczesna pisała oczywiście o kapryśnych wadliwościach kompozycji, o fatalnym fragmentarycznym układzie, o przeładowaniu balastem epizodów, o nieudolnościach stylistycznych, lecz wszyscy entuzjazmowali się orjentalną pychą języka, przedziwną koncentracją myśli, siłą frazeologji, pejzażami o podwójnie intensywnych barwach, — marzyli o tym kraju tysiąca i jednej nocy, rozkoszowali się prześlicznym romansem malajskiego Romea i Julietty: Saidjah i Adindy, imię Multatulego było na wszystkich ustach. A człowiek czynu czekał, a namiętny miłośnik uciemiężanych i deptanych bliźnich czekał, a trybun 30 miljonów Azjatów czekał, — ten śmieszny sercowiec, który śmiał się porwać z drukowanem słowem i ogniem wymowy na złote baszty warowni Mammona, czekał w małym pokoju hotelu w Rotterdamie. Myślał, że społeczeństwo, zmaterjalizowane do szpiku rdzenia pacierzowego, ocknie się, powstanie i powoła przed sąd swój Radę Indyjską, oligarchiczną kastę nababów indyga i szafranu, sprawiedliwość raz wreszcie zrzuci przepaskę z oczu, a ciężki miecz podniesie do góry. He, he, he! Przyjaciel jego, bardzo zacny literat, Jakób van Lennep, poprawny obywatel, ba, nawet utalentowana osoba, nabywszy prawa autorskie od wychudłego Dekkera zrobił piękny mająteczek na pamiętniku martyrologji „pana w szalu“, a antypatyczny satyryk, wichrzyciel i wogóle anormalny awanturnik Multatuli ze wszystkimi swymi ideami, altruizmami, z tym całym obłędem malajskim, rozpoczął żywot nomady, wagabundy z „Fliegende Blätter“, prawdziwą Odysseę nędzy i cierpienia, poniżenia i zgryzot. Żonę musiał opuścić i dzieci, przyjaciel go okradł, entuzjaści i idealiści wrócili do kantorów i zamtuzów, by wyłysieć, wyszumieć i stać się spokojnymi obywatelami ojczyzny. Multatuli musiał ogromny płomień pochodni swej rewolucyjnej zagasić w rodzinnej ziemi, własną ręką bijąc o grunt macierzysty i iść w świat. O Jawajczykach zapomnieli i Holendrzy i Europa, a bezmiar ludzkiego cierpienia drugorzędnej rasy spłynął krwią do Oceanu Spokojnego bez poematów, bez pamięci. Żar apostolski holenderskiego Lassala ostygł cokolwiek. Niezbłagane, twarde, unormowane życie europejskie usunęło w dal programy, prospekty i perspektywy, gorączka wielkiej reformatorskiej działalności, krucjaty i rezurekcji u niego ustąpiła miejsca jakimś mglistym nieuchwytnym imperatorskim marzeniom o czarodziejskiem państwie Insulindy, raju wolnych ludzi wzdłuż szmaragdowego pasu najpiękniejszej ziemi Ekwatoru. Fanatyk, działacz — rewolucjonista, przyszły dyktator, wytworny w filozoficznych myślach pan z panów, demokrata żarliwy... artysta — od czynu przeszedł do kontemplacji, od dokumentu znikczemnienia ludzkiego do wizjonerskiego melancholijnego fantazjowania. W głodzie i chłodzie, w garkuchniach i spelnikach pisał swoje „Listy miłosne“. Dla „Maxa Havelaara“ dał pomnikowy kontrast w osobie rywalizującej z Flauberta: Pecuchetem, w tym robaku ludzkim, panu Batavusie Droogstoppelu, maklerze kawy (firma Lastet Comp. Amsterdam Lauriergracht Nr. 37), karykaturalnym już prawie snobie, nikczemnym i marnym, poprawnym i porządnym aż do obrzydzenia. Dla „Listów miłosnych“ wyśnił sferyczną, anielską, rozwiewną postać *Fancy*, niedościgły fantom fantazji poetyckiej, idealną kochankę-natchnienie...

Kiedy Max Havelaar był jakby pieśnią wojenną Malajczyków, dziką, rozwichrzoną, płomienną, to „Listy miłosne“ są symfoniczną elegją, prawie że pastoralną, choć znowu gdzieniegdzie elementarnym wybuchem na wodzy trzymanych namiętności, — glossami z głębin duszy, kompozycją poezji, rzeczywistością ubezwładnienia, — ubóstwa, słabości z nadziemską siłą i pychą szatańską, — uczucia, spotęgowanego do szału z refleksją rozumną, ciętą, paradoksalną. W te „Listy miłosne“ spływa wszystko: poezja, miłość, tęsknota ironja, duch, sarkazm, codzienność, apatja, gorączka, żądza czynów, sceptycyzm, nihilizm, pragnienie Bóstwa, głód absolutu. To stereoskop stanów namiętnej, królewskiej duszy, przez który widać jej olbrzymie wirchy, smukłe turnie, niezgłębione czeluście, pola lodowe, znużenia i tropikalną florę instynktów. Tu jest istotna, przygnębiająca, jak u Poego i Przybyszewskiego, moc psychicznego detalicznego realizmu odruchów, przebłysków, drgnień i skurczów duszy, niknących bez śladu i znów powracających, zolbrzymionych i przeraźliwszych jeszcze. W tym dramacie dusz w listach, czystym od wszelkiej pozy, a już zupełnie od tej coraz nudniejszej pozy chaldejsko-assyryjskiej frazeologji magów z asfaltu i kabaretów, przewalają się błyskawicznie i padają sobie w objęcia najskrajniejsze, najbardziej sprzeczne i obce, wrogie sobie wrażenia, odczucia, sensacje, nastroje, emocje, impresje, sentymenty, czasem chorobliwie zgodne, raczej pogodzone, spokojne, zrównoważone, wypływające ze siebie, żegnające się z żalem, ciche, prawie senne. Czasem wszystkie te spętane potęgi, bohaterowie i bogi dramatów dusznych jakiemś krwawem słówkiem, jadowitą refleksją, cynicznym bluzgiem rozbudzone rzucają się na siebie z wściekłością, pianą, zgrzytem i furją, a biedny *homo sapiens*, Max, autor listów do fantomu Fancy i swej żony Tiny, pisze o smutku, zwątpieniu, wstydzie, apatji i przemożnej wielkiej pani Nudzie, sędziwej kochance egzaltowanych temperamentów, potężnej pani Nudzie. I znów z apatji budzi się płomyk dogasającej lampy, znużony miłośnik wstaje do walki i padają ostre razy na wypomadowane, wyfryzowane łebki maklerów, mydlarzy, kramarzy, wujów, ciotek, filarów społeczności, podchlebców, pasorzytów i oportunistów, na te grzędy kapuścianych główek i inspekta z dyniami wy-

grzewającymi do słońca przepych swych nagich grubych skór. I znów znużony zwycięzca wraca, obcierając miecz... o bibułę, do stóp swej słonecznej Muzy — kochanki, inspiracji wyśnionej niebiańskiej Fancy, a u jego boku staje żona łagodna, cierpliwa madonna Tina, smukła i wiotka w długiej powłóczystej sukni, jakby zeszła z obrazów Fernanda Knopffa, jakby cudem ożywiona statua Vallgrena — Tina, ten słodki głos ziemskiego ukojenia, spadkobierczyni mistycznych tradycji, jedyna towarzyszka upojeń i przesytów, przepychów i wynędznień, harmonijnych nastrojów duszy i zgrzytów dysonansowych instynktów. Staje u jego boku i chłodną białą dłoń kładzie na czole rozszalałego fantazjami – Eumenidami artysty... „Tak... tak, teraz cicho, słyszysz, dzieci oddychają tak spokojnie, śpij i ty teraz, śpij aż do jutra, zbudzę cię, gdy głos na ciebie wołający usłyszę. Śpij“... I kiedy heros męczennik się słania, ona Tina podtrzymuje go, jak Samarytanka, a czasem pierwszy promień wiosennego słońca lub cieplejsze odeń słówko kochającej towarzyszki, myśl o pięknym człowieku, dobry czyn, poświęcenie, marzenie o cichej śmierci budzą w Maxie i w każdym artyście słoneczną namiętną żądzę życia, użycia szczęścia i tryumfu. Jak Atene z głowy Jowisza, tak jeszcze niespodzianiej niezwyciężona *joie de vivre* wyskakuje często z tysiąca stronic, na których pessymista opisuje swe nirwaniczne tęsknice...

W „Listach miłosnych“ Multatulego wspaniały dramat twórczości i miłości odgrywa się w sferze dusznych wypadków i kolizji; niektóre z tych kolizji zostają wprost bezimiennymi, nie dadzą się objaśnić wytartymi terminami uczuciowymi i mimo tej orjentalnej obrazowości i żaru z jednej strony, a z drugiej strony rozumowej europejskiej logiki i dreptającej wszędzie refleksji, gdzieniegdzie zacierają się zupełnie kontury rzeczywistości nawet idealnej, dusznej, a na jakby wyblakłym gobelinie zdań rysuje się tylko przedelikatna seraficzna linja tej Fancy — fantazji, jakby Botticeloskiej Sulamit, lilji sarońskiej, czy narcyzu czystego i wonnego. To jedna z najciekawszych ksiąg podniosłego i szlachetnego erotyzmu. książka dla wszystkich i dla nikogo, biblja tych kochanków, którzy, w kobiecie widząc obraz i podobieństwo Bóstwa na ziemi, sami uważają się tylko za silne i trwałe ramy tych obrazów, — którzy przed ukochaną sypią kwiaty szlachetnych uczynków, rezygnacji i poświęceń, abnegacji i zaparcia się siebie i swych instynktów, a sypią te kwiaty, aby „snać nie obraziła swych stóp“ o kamienie ludzkich serc... (D. n)

---

ALOJZY JIRASEK.

# CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Wróżby, do których Kozina zwracał się dwukrotnie, a których zapytać po raz trzeci nie śmiał, powiedziały prawdę. Sąd wydał wyrok, skazujący go na śmierć. Więzień był prawie pewny, że tak a nie inaczej się skończy, a jednak wiadomość złowroga wstrząsnęła jego duszą do głębi, uderzyła w nią, jak piorun...

Trwało to jednak nie długo: po wzruszeniu przyszedł głuchy jakiś spokój i skrzepił jego siły. Uczuł nawet ulgę, pozbywając się niepewności, która trapiła go dniem i nocą.

A gdy wkrótce potem strażnik więzienny przyszedł mu powiedzieć, że go odwiozą do Pilzna, Kozina uradował się w sercu. Rozumiał, o co tyranom chodziło: chcieli, aby śmierć jego stała się postrachem dla Chodów, na których kaźń w Pilznie silniejsze powinna była wywrzeć wrażenie, niż wówczas, gdyby został stracony w Pradze. Ale medal miał także i stronę odwrotną. Kozina wiedział, że rodacy nie zapomną krwi jego, przelanej za wspólne prawa, — jak nie zapomną i Lomikarowi, że go fałszywie oskarżył i dał niesprawiedliwie zasądzić. Tak, on, Lomikar! Od jego wyroków nie było odwołania, wobec jego woli prawo i sprawiedliwość przestawały istnieć. Wszyscy o tem wiedzą, dla wszystkich jasne to, jak dzień. To też Koziny nie przeraziła wiadomość, że ma iść do swoich na śmierć hańbiącą. Owszem, radował się i uśmiechał do myśli, że zobaczy żonę, dzieci, matkę...

Podróż z Pragi do Pilzna trwała dni kilka. Oh, była to smutna, bolesna droga, odbywana w kajdanach, na nędznym wozie, pod chmurnem i słotnem niebem listopada. W tydzień jednak później, gdy siedział już w więzieniu pilzneńskiej radnicy, spełniło się niespodzianie najgorętsze pragnienie jego serca. Drzwi celi uchyliły się o godzinie niezwykłej, wnet po południu — i więzień ujrzał w nich — o Przenajświętsza Panno! — Hankę z Hanusią na ręku i matkę z Pawełkiem...

Pod złowrogiem sklepieniem więziennem rozległ się płacz, okrzyki żalu i radości, odosobnione słowa, urywane zdania, które siliły się nadaremnie wyrazić uczucia, szarpiące pierś nieszczęśliwych ludzi. Matka i żona kryją łzami zalane twarze na męzkiej piersi Choda, on tuli je w ramionach, a potem wnet ku dzieciom się pochyla. Lecz te go nie poznają i z trwożnem zdziwieniem patrzą na bladego więźnia w wytartem odzieniu, w kajdanach, których ostry brzęk obawą je przejmuje. Widząc to matka, podnosi je po kolei, ku ojcu pochyla i głosem drżącym, łez pełnym, przypomina, że to ich tata miłowany, on zaś garnie je ku sobie uściskiem gorącym i pocałunkami okrywa...

Wtem z mroku więziennego wynurza się jeszcze jedna postać... To Iskra Rzehurzek, przyjaciel i towarzysz młodych lat Koziny. Niegdyś był swatem między Janem i Hanką, teraz patrzy

na ich spotkanie, potem zbliża się i dłoń wyciąga do więźnia. A temu na widok wiernego przyjaciela, oczy ćmią się znowu kroplami żalu...

Usiadł na nędznem posłaniu, trzymając dzieci na kolanach. Maleństwa już się z nim oswoiły, już się go nie obawiają, a Pawełek zdaje się coraz bardziej przypominać sobie ojca. Ten pieści ich główki, zadaje pytania przerozmaite, a potem znowu się zwraca do Hanki, do matki, które tuż zaraz stoją.

Hanka uciszyła się na chwilę w swej boleści. Łańcuchy nie brzęczały teraz na nogach męża, a gdy tak zapatrzyła się na niego i na dzieci, z przed oczu zniknęło jej wszystko inne. Nagle okrutna myśl przeszyła jej serce: wszak on skazany na śmierć! — I znowu usta młodej góralki drżą płaczem, z piersi rwie się jęk, a z lamentem nieszczęśliwej miesza się głos starej matki.

Wtem stróż więzienny przypomina, że czas dozwolony minął, że muszą się rozstać. – Jakto, tak prędko! Zaledwie się zobaczyli i już trzeba się żegnać! A tyle mieli sobie jeszcze do powiedzenia: Jan zaledwie słówkiem wspomniał o śmierci wuja, Iskra nie zdążył podać szczegółów o zakończeniu walki i tragicznym zgonie Macieja Przybka — i muszą się rozstać?...

Jedyną pociechą w tym smutku była myśl, że jutro wolno im będzie zobaczyć się znowu.

Więzień pozostał sam, a gdy twarze ukochane zniknęły mu z przed oczu, gdy owiała go pustka więzienna, uczuł po raz pierwszy w całej pełni grozę tego, co go oczekiwało w niedalekiej przyszłości.

Nazajutrz drodzy goście po raz drugi zawitali do jego celi i znowu godzina dozwolona przemknęła im niepostrzeżenie. Teraz żegnali się ze sobą jeszcze smutniej, bo na dłużej. Wiedzieli jednak, że się jeszcze zobaczą. Będzie to wtedy, gdy... Ach, straszno pomyśleć!...

I płynął tak dzień za dniem, aż się zbliżył złowrogi dwudziesty ósmy listopada.

Ostatni termin przypomniał się najwymowniej Kozinie, gdy pewnego dnia ksiądz wszedł do jego więzienia, aby go przygotować na daleką drogę. Młody, pobożny Chod przyjął kapłana z należnym szacunkiem, a w słowach jego znalazł nie mało pokrzepienia dla zbolałej swej duszy.

Słuchał nauk jego z przejęciem się i zgadzał na wszystko, — gdy jednak ksiądz wspomniał o Lammingerze, Jan ściągnął brwi i wstrząsnął głową przecząco.

— I któż, wielebny Panie, większy popełnia grzech: ów, co broni swych praw, czy też ten, co setki ludzi okrada, znęca się nad nimi, niewolników z nich czyni i niewiastom mężów, a dzieciom ojców ubija?

Ksiądz, widząc niezłomne postanowienie na twarzy więźnia, rzekł jeno kojąco:

— Oddaj, miły synu, całą tę sprawę Bogu, który jest sędzią najlepszym i najsprawiedliwszym.

— Juści: Pan Bóg to osądzi — przytwierdził z głębokiem przekonaniem chmurny Chod.

## XXIX.

„Ze Lhoty, Kiczowa, Tłumaczowa i Straży po czterech, — z Poczynowic, Miodakowa, Chodowa i Postrzekowa po sześciu, — z Kleńcza ośmiu, a z Drażenowa i Ujazdu po dziesięciu gazdów udadzą się do Pilzna, aby mogli widzieć na własne oczy haniebną śmierć Jana Koziny, buntownika. A każdy niech weźmie dzieci swoje, chłopców i dziewczęta, aby i one pamiętać mogły do śmierci to, co widzieć będą w mieście Pilznie, na placu kaźni“.

Tak brzmiał rozkaz terhanowskiego pana, który zalecił wszystkim wójtom, aby rozporządzenie owo zostało wykonane w ich wioskach pod grozą kar surowych.

Lamminger stoczył krótką walkę ze sobą, nim wydał nakaz okrutny. Ale teraz, gdy długi szereg wozów chodzkich wjeżdżał bramą pilzneńską, i on sam i każdy inny mógł się przekonać, że hardy lud górski nauczył się już karności i posłuszeństwa. Jak rozkazano, tak się też stało. Chodowie zgromadzili się wszyscy w Domażlicach, jako w punkcie zbornym, a stamtąd, pod dozorem urzędników pańskich z Kęt i Terhanowa — puścili się zaraz po północy w podróż żałobną. Nad wieczorem dopiero słotnego i chmurnego dnia stanęli w mieście. Pomimo niesprzyjającej pogody, ulice roiły się tłumem ciekawych, co radzi byli ujrzeć jaknajrychlej przymusowych świadków, o których przybyciu wiedziało już całe miasto. To też wszystkie oczy zwracały się z wyrazem ciekawości, niekiedy współczucia, na rosłych Chodów w kożuchach, płaszczach i czapkach baranich, którzy siedzieli na wozach, chmurni i zamilkli. Ojcom towarzyszyły dzieci, chłopcy i dziewczęta. Dziatwa ona, w dalekich wioskach górskich wychowana, rozglądała się teraz z podziwem i lękiem dookoła, przenosząc spojrzenia z okazałych domów na różnobarwny tłum ludzi, którzy ją sobie wzajemnie pokazywali.

Terhanowski pan mógł być naprawdę zadowolony! Możeby jednak zadowolenie jego przyćmiło się trochę, gdyby słyszał, co mówiono w chatach chodzkich, gdy wójtowie głosili tam jego rozkaz i gdyby mógł zajrzeć teraz w głąb myśli jadących Chodów i wyczytał w nich, czemu spełniają jego wolę! Jechali, spieszyli, lecz dusza ich nie uznawała rozkazu okrutnego pana. Jechali, aby zobaczyć raz jeszcze niezłomnego obrońcę swych praw, aby pożegnać brata, co szedł na męki za wolność chodzką..

Imię Jana Koziny wracało co chwila na wszystkie usta przez całą drogę, na ostatnim jednak wozie, na którym siedział stary Szerłowski z Pajdarem, wspominano także Sykę, młodego Szerłowskiego, krewkiego Brychtę, krotochwilnego Ecla, którym kto wie, czy nie lepiej było w okowach, niż im tu, niby wolnym. Na co stary

Szerłowski zauważył, że los jedynie godny zazdrości padł w udziale Maciejowi Przybkowi, — a mówiąc to, westchnął głęboko z wielkiego żalu, że nie poległ obok niego, na polu bitwy.

W Pilznie panował ruch niezwykły. Ze wszystkich stron zjechała się moc ludzi, aby widzieć kaźń chodzkiego górala, którą ogłaszano publicznie w Pradze i we wszystkich miastach królestwa czeskiego. Tłumy płynęły ulicami, jak rzeka, a między publicznością błyskała tam i ówdzie broń patroli wojskowych, które czuwały nad bezpieczeństwem miasta.

Urzędnicy Lammingera zawiedli Chodów do gospody, dla nich umyślnie przygotowanej i tu oddali ich pod straż. Nie wolno im było wyjść na miasto, nie wolno było zobaczyć się z Koziną. Krew burzyła się góralom w żyłach na taki gwałt, ale cóż mieli począć? Musieli poddać się wrogiemu losowi i ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, jęli znowu rozmawiać o skazańcu, przy którym obecnie musiała znajdować się rodzina. Hanka bowiem wybrała się z matką i dziećmi w drogę do Pilzna o trzy dni wcześniej od nich. Rzehurzek zaprzągł parę pięknych gniadych koni, które Jan wychował był własnoręcznie, a na wóz wsiadła cała rodzina nieszczęsnego gazdy wraz z Dorlą. W ślad za nimi pędził stary Wilk, któremu, na prośbę Pawełka, pozwolono też wskoczyć na furę.

— Jan rad go widział — mówił Iskra, czyniąc miejsce obok siebie staremu kudłaczowi, który pochodził jeszcze z dobrej starej rasy psów chodzkich. — Jednocześnie z wozem Kozinów opuścił Ujazd też inny, na którym znajdowało się kilka starszych sąsiadek w takich samych żałobnych sukniach i chustach, jak Hanka i stara matka Koziny.

Dobre te sąsiadki, do których przyłączył się, mimo oporu Maryny — i stary Przybek, jechały, aby nieszczęsna matka i żona skazańca nie były zupełnie osamotnione w strasznych chwilach, w obcem sobie mieście.

Owóż Szerłowski i Pajdar rozmawiali ze sobą właśnie o tem wszystkiem, gdy drzwi gospody uchyliły się i Rzehurzek stanął przed nimi. Chodowie, uradowani niezmiernie widokiem grajka, jęli się tłoczyć ku niemu i wypytywać o nowiny. Ów zaś opowiadał, że wolno im widywać się teraz dwa razy dziennie z Janem, który wydaje się zupełnie spokojny na duchu i stara się jeszcze dodawać odwagi matce i żonie.

(C. d. n.)

# Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Jako drugą formę obłędu ówczesnego, uważam bigoterję więzienną. Zrodzona w chwili mąk ciężkich przy indagacji, zwykle podczas oczekiwania na wyrok śmierci, przetrwała ona ową chwilę i przetwarzała się następnie w manję. Ludzie, nią dotknięci, rozpoczynali najczęściej chorobę swoją pierwotną od widzeń nadprzyrodzonych, czyli od halucynacji. Z pomiędzy kilkunastu, znanych mi przykładów, wybieram następujące.

Zdzisław Mitkiewicz „człowiek wykształcony“ „kandydat uniwersytetu“ w Charkowie, obywatel ziemski z Mohylewskiego, miał widzenie senne, podczas więzienia, gdy się spodziewał, że go Murawjew nie oszczędzi i każe powiesić, jak tylu innych; ciążyła bowiem na nim wina straszna, mianowicie posądzano go o to, że był komisarzem rządu narodowego, a nawet że jakoby miał nominację na wojewodę Mohilewskiego. Każdy z tych tytułów groził śmiercią. Żona Mitkiewicza, spokrewniona z rodziną książąt Kuczubejów, mająca w stolicy krewnych, dygnitarzy państwowych wysokich, pospieszyła do Petersburga, ażeby tam wyjednać ułaskawienie dla męża, skazanego przez sąd wojenny na śmierć.

Widzenie więźnia, o którem była mowa uprzednio, przypadło w chwili wyczekiwania na rezultat starań żony. Po zjawisku sennem, wyżej wspomnianem, Zdzisław M. ofiarował się pobożnie pościć piątki przez całe swe życie i odmawiać litanję do N. P. M. Za tę ofiarę został wybawiony cudownie od szubienicy. Bo że nie łatwą rzeczą było w ową porę ratować się bez cudu z rąk Wieszatiela, najlepiej nas pouczy przykład, który tu przywiodę.

Młodzian niepełnoletni, Władysław Pusłowski, syn bogatego obywatela ziemi Nowogrodzkiej, należał do powstania. Wzięty w niewolę, skazany został przez sąd wojenny na rozstrzelanie tylko, albowiem nie umiano wtedy jeszcze budować szubienicy w Nowogrodku, jak również nie umiano tam i wieszać jeszcze. Wyrok sądu wojennego odesłano do zatwierdzenia do Wieszatiela w Wilnie. Ciotka skazanego, generałowa, Ejsmuntowa z domu Obuchowiczówna, bogata kobieta i bezdzietna, mająca bardzo rozległe stosunki w stolicy państwa, a do tego i grubą gotówkę w kieszeni, która w ową porę ułatwiała wszelkie starania u władz, podążyła do Petersburga i poświęciwszy znaczne sumy, uzyskała ostatecznie ułaskawienie dla sio-

strzeńca. Pełna radości spieszy z dobrą nowiną do siostry, ale już w drodze dowiaduje się, że z rozkazu Wieszatiela, ułaskawiony przez monarchę, nagle, bez wszelkich zwykłych ceremonij, zabity został w Nowogródku. Czynność wykonania mordu, niezwykła nawet w dziedzinie mordów ówczesnych odbyła się tak:

Gdy Murawjew odebrał w Wilnie dekret monarchy „ułaskawić skazanego“, kazał bez zwłoki zatelegrafować do Nowogrodka słowa następujące: „Pusłowskawo razstrelat niemiedlenno“. Natychmiast po odebraniu rozkazu, wyprowadzono młodziana z więzienia w asystencji kilku żołnierzy, powiedziawszy mu, że go wiodą do sądu. W drodze zwrócono raptem na boczną uliczkę w lewo od drogi, po której szli do sądu, skierowano kroki na łączkę, leżącą w obrębie posiadłości prywatnej mieszkańca Nowogródka i stanąwszy tam, kazano przyłożyć lufy karabinów żołnierzom konwojującym do piersi nieszczęsnej ofiary furji alkoholicznej Wieszatiela — i dać ognia.

Zginął młodzian szlachetny, rokujący wielkie nadzieje, z ręki ślepych moralnie wykonawców rozkazów zwierzęcych satrapy. Gdy rozżalona generałowa Ejsmuntowa, zalana łzami, robiła następnie wymówki komendantowi, powiadając, że tak przecie, bez wyroku, bez spowiedzi i pociechy religijnej zabijać ludzi się nie godzi — ten miał jej odpowiedzieć w te słowa, że gdyby był odebrał rozkaz taki „Pusłowskawo udawit' sobstwiennoruczno“, czyli „udusić Pusłowskiego własnemi rękami“, byłby to uczynił „bez zazrenija sowiesti“, t. j. „bez wszelkich wyrzutów sumienia“. Tak jest, pomocnik kata ma obowiązek wykonywać rozkazy swego pryncypała, ale ani on sam, ani jego mistrz, o sumieniu, nawet w retorycznych zwrotach mowy, wspominać nie mają prawa. Jeden tedy drobny listek więcej do korony laurowej, wieńczącej głowę spiżowego potwora w stolicy Gedyminów i jeden wonny kwiatek więcej dla szaty ślubnej ugodowców, przybywa ku czci idei „abjedinienja i abrusienja“. Po zabiciu i zakopaniu w dole, naprędce sporządzonym, zamordowanego, postawiono straż na miejscu kaźni. Nikt w Nowogródku nie wiedział, co się stało, dopiero z Wilna przyszła wiadomość o tem, że Pusłowski został zamordowany. Rodzinie udało się przekupić straż i wykraść zwłoki swego ulubieńca; długo zwłoki te tułały się po strychach mieszkań, kryjąc się przed szpiegami policyjnymi, aż ostatecznie po śmierci ojca spoczęły w jednej z nim trumnie, w jednej mogile.

---

## Z pism i książek.

*Herbarz jubileuszowy „Biesiady Literackiej“. XXV, 1876—1900. Warszawa 1900,*

*Herbarz jubileuszowy* jest to wielka *in folio* książka o 136 stronicach, składająca się z trzech działów. Najobszerniejszy z nich *Dział literacki* (str. 40—126) nie przynosi nic nowego, a składa się z przedruków cenniejszych wierszy, artykułów i ustępów z większych prac, dokonanych w różnych rocznikach „Biesiady Literackiej“.

Znajdujemy tu więc utwory Deotymy („Biesiada u Ziemomysła“), J. I. Kraszewskiego, A. E. Odyńca, P. Chmielowskiego, M. Gawalewicza, Wł. Łozińskiego Felicjana Faleńskiego, Bolesława Prusa, Teod. Tom. Jeża, Al. Półkozica („O Juljuszu Słowackim, fragment z pamiętnika“), M. Konopnickiej, E. Orzeszkowej, Adama Asnyka, L. Tatomira, Kornela Ujejskiego i samego redaktora „Biesiady“, autora licznych kronik, zamieszczanych na czele każdego numeru — Władysława Maleszewskiego, piszącego przeważnie pod pseudonimami: „Sąsiad“ i „Sęp“.

Dział ten ilustrują liczne drzeworyty i portrety autorów lub osób, o których pisano, a które w swoim czasie zdobiły poszczególne numery „Biesiady Literackiej“.

Kończy książkę tę rozdział zatytułowany: *Zdania Czytelników* (str. 127—134). Jest to część oryginalna tego wydawnictwa, „zdania“ te bowiem przeznaczone były li tylko dla owego pamiętnikowego „Herbarza“ i w nim też po raz pierwszy w druku się pokazują.

O wiele jednak cenniejszym nabytkiem od tych dwóch wymienionych działów jest dział pierwszy zatytułowany: *Dzieje „Biesiady Literackiej“* (str. 1—39). Składa on się z *przeglądu obszerniejszych artykułów*, studjów, powieści i poezji, drukowanych w różnych rocznikach „Biesiady“ i zaopatrzonych częstokroć w ciekawe i charakterystyczne komentarze, następnie z dokładnego *zdania sprawy z kwestjonarjusza*, zarządzonego w kwestji powiększenia objętości „Biesiady“ (zmiana formatu), ze *spisu współpracowników* (z działu literackiego i ilustracyjnego) w porządku alfabetycznym wraz z podaniem roku, tomu i numerów „Biesiady“, w którym właśnie zamieszczono ich prace i nakoniec ze *spisu najdawniejszych protektorów i prenumeratorów* „Biesiady Literackiej“.

Szczególniej podnosimy na tem miejscu spis prac, zawartych w 48 tomach „Biesiady“. Bardzo wiele cennych artykułów i notat z powodu braku podobnych spisów uchodzi uwagi badaczów, toną one w morzu niepamięci, dlatego myśl sporządzenia podobnego spisu i wcielenie myśli tej w czyn — jest wielce pożytecznem zjawiskiem i godnem naśladowania dla innych pism, nietylko tygodniowych, lecz nawet codziennych.

Pierwszy numer „Biesiady Literackiej“ wyszedł z druku d. 7 stycznia 1876 roku. Wydawcą był Gracjan Unger i on też podpisywał numera, jako redaktor odpowiedzialny, rzeczywistym jednak redaktorem literackim i artystycznym od samych narodzin „Biesiady Literackiej“ był Władysław Maleszewski, który też na tem stanowisku po dziś dzień pozostaje.

*Henr. Ul.*

---

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.